

### III. FAJERWERKI I KARESY

1.

Jak zawsze o tej porze dnia Osip Wiśniowiecki stał koło bramy i dłużał w nosie (w dni pogodne zajmował z reguły miejsce po jej zewnętrznej stronie, w dni słotne po wewnętrznej). Był to mandryl – ale raczej z tych kolosalnych.

Stał!

Słoneczko muskało szeroki kark... prześlizgnąwszy się pomiędzy rzadkimi rudymi puklami gładziło gruzlastą czaszkę... gorącymi pocałunkami usuwało z rozplaszczzonego nosa krople potu... opierając promień na kurtce mundurowej pieściło czule jej zawartość... - słowem – grzało tu i tam – a obłąpany nachalnie przez solarnego kochanka, Wiśniowiecki stękał z rozkoszy i przez jego ogromne ciało raz po raz przelatywały ekstatyczne dreszcze.

Rozpatrując z oddali sylwetkę Wiśniowieckiego można było przypuszczać, że natura, kształtując go, musiała być pod silnym wrażeniem wytworów rzeźbiarskich z epoki socrealizmu, wszelako przy bliższym badaniu wrażenie się rozmywało, a detale – zarys żuchwy, uwypuklenie łuków brwiowych, uzębienie, płaszczyzna czoła, kształt uszu, tudzież horrendalna długość kończyn górnych – nasuwały raczej skojarzenia z prehistorią.

Osip Wiśniowiecki tkwił, eksplorował nozdrza, spał i odżywiał się – wszystko jednocześnie.

To dziecię przyrody było ostatnią żyjącą odroślą wielce zasłużonej dla nadwiślańskiego kraju rodziny policyjnej. Jego pradziad, Wasyl, zapisał się był złotymi zgłoskami w historii jako jeden z najwybitniejszych stójkowych II poł. XIX w.; dziadek, też Osip, działał ze wszystkich sił w pierwszych dwu dekadach XX stulecia; ojciec, o przydomku Nachaja, dał się poznać z najlepszej strony za czasów okupacji i kształtowania władzy ludowej, starsi bracia odnosili ogromne sukcesy zawodowe w UB; Osip-junior, najmłodszy i w pewnym sensie najmniej badawczo uzdolniony, zmieniwszy w roku 1956 rodowe nazwisko Suczyn na lepiej przylegające do realiów, służył z pryncypialnym zapalem przez lata na niwie praktycznej moralistyki. Odznaczony Orderem Budowniczego PRL gorszej sorty, przeszedł w 1984 w stan

zawodowego spoczynku, nie tracąc jednak kontaktu z umiłowanym zawodem i oddając się z całego serca inwigilacji osób w wieku senioralnym. Wkrótce szeroko zasłynął. W owym czasie tow. Janko poszukiwał dla swojej matki kuratora i zarekomendowany przez władze Wiśniowiecki wziął na barki obowiązki dozorca kamienicy i nieco ekscentrycznej staruszki.

Słońko grzało.

Sen skleił był niewielkie oczka Wiśniowieckiego żółtawą wydzieliną, ciało chwiało się na wszystkie strony, żuchwa pracowała krótkimi szarpnięciami, bochny pięści z chrzęstem kurczyły się, a gdzieś z głębi brzucha niosła się donośne burczenie. Wszelako słońko nie zawsze przygrzewa, schowało się za chmurkę i cień położył się na zaułku – a wtedy Wiśniowiecki zaczął się budzić.

Wpierw zamachał rękoma jak wiatrak i – nie otwierając powiek, krzyknął – „Heh!... Hej!... – potem rozkleił palcami najpierw jedno oko, przejechał nim po okolicy, potem drugie, wyjął z kieszeni kawał boczkę, obwąchał, otrzepał – i z błogim uśmiechem przystąpił do cięcia prążkowanej wędzonej mięsistości zamaszystymi kłapnięciami siekaczy. Rozdrobniwszy pokarm, przeciągnął się jak kocur z zupełnie innego świata, skurcz ni to rozkoszy, ni to obrzydzenia przeleciał mu przez twarz, oczy zakołowały, potem rozbiegły się na boki, w końcu stanęły w słup i stary wiarus ponownie wpadł w nirwanę – wystawania, drzemia, gmerania i żucia.

Nagle, mocne klepięcie w ramię podziałało na Wiśniowieckiego jak oprysk stężonym kwasem solnym. Wyrwał się z objęć Morfeusza w ułamku sekundy, odgiął w głębokim uniku, z półobrotu wyszedł ostro prawym sierpowym i gdyby tow. Janko znajdował się o krok bliżej, poszedłby na trotuar znokautowany:

– Ja wam... kurwa!... gnojki!... nogi!... z!...! – poleciało z Osipa, nim zdołał dojść do porozumienia ze światem zewnętrznym. Toczył w krąg białkami, źrenice miał średnicy szpilki, tęczęwki sine, z miejsca zaczął się czochrać po głowie w sposób zoologiczny i spluwać. Ale kiedy w końcu rozpoznał towarzysza Janko – w ukłonie spuścił tułów i już zupełnie innym tonem zaraportował:

– Uch, uch! Towarzysz. Janko! Ja czuć ucieszenie. My są przy pracy. Hu, hu... My was już dawno, dawno nie widzieli... – w tym momencie ob. Wiśniowiecki uznał za stosowne uśmiechnąć się, co obrodziło parsknięciem tak soczystym, że były boczek skoczył na chodnik.

- No, no, Wiśniowiecki...- cofając się o krok, odparł. Janko,. – Wy jak zawsze przy konsumpcji. Czy wy może wiecie, że wy bylibyście mnie zabili?!

– Eee-tam... przecie towarzyszu swoi!

Wtem Wiśniowiecki coś pojął i w porywie zdziwienia wybałuszył się zupełnie:

– Gdzie samochód?! Nie było niniejszym zajechania?!!

– Ja bieżąco przyszedłem... - tow. Janko powiedział to tak lekko i nonszalancko, jak gdyby chodzenie było od lat jego głównym zajęciem. – Odłączyłem środek lokomocji w śródmieściu i... ot! sam z siebie ...przyszedłem.

Gdyby dyscyplina służbowa zezwalała, to Wiśniowiecki usiadłby ze zdziwienia na ziemi, ale nie – więc się tylko zadumał, a z wysilenia umysłowego zaraz pot zaczął z niego walić płåtami jak ze zgrzanego ogiera: *Znaczy idzie na nas upadek, kiedy towarzysze na szczepku chodzą...* – uformowała się w końcu myśl – *...jak nic zaraz będzie koniec z naszym ustrojstwem!* – Nie dał jednak poznać po wierzchu postrzeżenia, tylko wyprężył ciało zgodnie z przepisami wojskowego ułożenia i pożerał zwierzchnika oboma oczami.

I wtedy nagle z sieni wyszli: dwaj!

Na pierwszy rzut oka – antysocjaliści!

W rękach nieśli wypchane do granic możliwości torby, na plecach ogromniały plecaki, ubiór posiadali niekonwencjonalny, na twarzach zarost, a bledość ich skóry jednoznacznie wskazywała na podziemny tryb bytowania. Obydwaj lekko i jednocześnie skłonili głowy przed tow. Janko, rzucili „Cześć!” Wiśniowieckiemu i poszli bez ceregieli w siną dal.

– Co oni tamci są? – towarzyszem Janko nagły skurcz niepokoju aż zakręcił w miejscu.  
– Gadać zaraz, Wiśniowiecki!

Wisniowiecki zbierał się w sobie długo, nim wyrzucił:

– To są Marian i Jureczek. Oni w piwnicy!

– Znacie ich?

– Pewnie! No, się nie przyjaźnimy...

– Czemuż to?

– One są towarzysze towarzyszowej mamusi!

– Dość, Wiśniowiecki! – słowa tow. Janko brzmiały bardzo sucho. – Czy oni, wiecie, są dajmy na to hydraulicy, i oni tam, w tej piwnicy, z przewodami wodnymi coś robią?

*On ci nie strzeli bramki, bo jesteś kryty mamusią...* - skonsolidowało się w szarych komórkach Wiśniowieckiego – *ty wyjdź zza gardy i z mety bij między oczy.*

Przeciągając słowa, doniósł:

– Towarzysz jakby się zmylił... Oni dru-uku-ują!

– Drukują?! – głos tow. Janko brzmiał, jak brzmiał, czyli sucho, ale ciągle się schładzał.

– A co? Sądzę, że nie fałszywe pieniądze?

- Tego byśmy nie dopuścilibyśmy! Oni wyprawiają takie gazetki... - Wiśniowiecki rozluźnił mięśnie, widząc, że idzie ku lepszemu - ...bibuła się nazywa.

- No, no... problematyka z gruntu nielegalna... – tow. Janko nawet nie podniósł głosu.

– A powiedzcie, ile wam moja matka zapłaciła za przymykanie? Wiecie chyba czego?

– Bramę zamykam społecznie! – Wybuch godności osobistej aż zachwiał Osipem.

– Za przymykanie oczu!

– To ja powiem towarzyszowi jak na spowiedzi, że wasza mamusia mnie jest szanująca, dlatego zakupiła mi garnitur, zegarek elektroniczny do budzenia, żelazko, coś takiego do maglowania, klatkę dla szczygła i bardzo duże akwarium... No, na wszystko posiadamy poświadczenia – że ofiarodawca był na dobrej woli.

W miarę słuchania Janko pochylał coraz niżej głowę, a kiedy broda dotknęła piersi, zakomunikował cicho, bo samemu sobie:

– Więc do tego się posunęła... Jak to obnaszać?... Pluralizm w najbliższej otoczce...

Wszelako Wiśniowiecki miał słuch zawodowo nadwrażliwy i nie puszczał niczego mimo uszu; odpowiedział z miejsca:

– Toczka w toczkę tak mama towarzyszowa nachalnie gada. Ona jeszcze: demokracja, lubienie ojczyzny, zwolnienie przekonań... Takie świństwa się tu mówi! – Wiśniowiecki poczuł, że najgorsze za nim i oddychał pełną piersią. – No, co? No, pójdzie towarzysz na górę?

Tow. Janko patrzył przez chwilę na byłego wiernego Osipa z mieszaniną odrazy i zaciekawienia, a potem powiedział tonem bardzo oficjalnym:

– Na wszystko jest odpowiedni czas, teraz udamy się do waszego miejsca zamieszkania i tam ramowo podyskutujemy.

Weszli do jasnej i przestronnej kuchni.

Janko usiadł za przykrytym czerwono-białą kraciastą ceratą stołem i potoczył wzrokiem po pomieszczeniu: – Czysto tu było i wesoło, półki ozdobione warkoczami czosnku i pękami czerwonej papryki, ze ścian wyszywane makatki życzyły „Smacznego” i „Dzień dobry”, koło okna bieliła się ogromna lodówka, z półek złościły się wypucowane mosiężne rondle, wielkie słoje z przesypanymi cukrem truskawkami wylegiwały się pod oknem, koło białego kredensu bulgotał pracowicie dymion z winem, wszędzie zaś – po kątach, na półkach, pod stołem – piętrzyły się prostopadłościanny zadrukowanego papieru. Towarzysz Janko wstał, wziął pierwszy z brzegu arkusz, przeczytał, kiwał głową przez około minutę, odłożył na miejsce i huśtając się na obcasach, głosem miodowo ciągnącym się przemówił:

– Teraz i tu, bez niepotrzebnych świadków, wyjaśnicie mi, Wiśniowiecki, z pełną prawdą, całością... Mówić!

– Mamusia... - wyszło wyłącznie z Wiśniowieckiego.

– Wasza mamusia jest tego... zupełnie na Powązkach! – huknął Janko. – Czy wy posiadacie, Wiśniowiecki, rozum?!

– Tak mówią... – Osip uśmiechnął się z dumą – ...a ja to wiem!

Janko przemierzył kuchnię pięć razy zanim przystąpił do kontynuacji:

– Zostawmy to na poboczu... Czy ktoś jeszcze o nielegalnej problematyce poinformowany?

– Organa! – szczechnął służbiście Osip.

– Organa władzy państwowej?!

– Ma się rozumieć, towarzyszu Janko, my są świadomi partyjnej dyscypliny. –  
Wszędzie bywałem!

Janko powrócił do spaceru; tym razem przebył kuchnię trzy razy, nim przemówił:

– A towarzysze z bezpieczeństwa, co oni?

- Którą odwiedziną? My byli wiele...

Janko zatrzymał się tuż przed Wiśniowieckim i wwiercił mu się groźnie w oczy:

– Pierwszą! Co powiedzieli?

Wspomnienie tej wizyty musiało szczerze ucieszyć Wiśniowieckiego, bo roześmiał się soczyście:

– Hi, hi, hi... Jeden notował, a reszta się do płaczu nabawiała; towarzysz pułkownik, piękny mężczyzna, to on się tak rozśmieszył, że się zrobił jak kawałek mięsa i musieli mu ręcznik z lodem kłaść na głowę, co by nie strzelił butami... On meldował, że wy, towarzysz Janko, są „waż”; że wy „wiecie, kiedy zmieniać przydział służbowy”. Tylko jeden taki major, chyba obcy, to on się też zrobił czerwony, ale jak szynka, i walił tępokrawędzistym w stół, i krzyczał, naprawdę strasznie, nawet kolegom ubliżał, i mówi: „Ja wam nakopię o! taaki... patriotyzm!”. Ale go zaraz wzięli pod siebie i uciszyli. Tak, w caluńskiej rozciągłości pobylem bardzo miło!

– I co? Nic? Wypuścili? – w głosie Janko po raz pierwszy zabrzmiało zdziwienie.

– Ja jest przecie swój członek! – Wiśniowiecki rozradował się aż do uszu. – Kuda im mnie prac przy rozmowie! Dali wytyczne, i – iść!

– Donosicie?

– Ja niniejszym czatuję, bo nosić nie kazali! Powiedzieli: „Teraz wasze nie jest nasze, bo bieżąco co zakazane, jest dozwolone; ale piszcie i czatujcie, nosić jeszcze zdążycie.”

– A matka? – w oczach tow. Janko zamalowało się szczerze zaniepokojenie.

– Siedzi... Znaczy... Nie, nie! Żyje sobie na górze, u siebie.

– Chodzą do niej?

– Raz był kapitan. On się zapytywał, czy nie trzeba papieru. Trzeba bardzo było!

Janko uniósł brwi w zdziwieniu:

– No i jak?

– No i tak! Jażem pojechał i my dostaliśmy. Wam pokazać? Sama pierwsza sorta!

Tow. Janko tylko mruknął coś niezrozumiale i powrócił do wędrówki; gdzieś po dwustu metrach zatrzymał się – wyglądał na zmęczonego:

– Wy, Osipie, jesteście kryzys i spaczony – powiedział głosem jak szmer niedużego potoku. – Wam nie wstyd czatować na matki?

Wiśniowiecki spuścił głowę i pociągnął znacząco nosem:

- Wstyd! Ale ja na mamusie tylko od święta... nawykowo czatuję na takich, co tu łążą, o, byli ze dwa razy urzędnik, dwa strażak, kominiarz, kapo od parkingów – to ich wyzionąłem! Nikto bieżąco nie chodzi, to robota w piwnicy leci, co i dudni!

Tow. Janko spoglądał przez około minutę na Osipa, potem spojrział na sufit, na piec, na słoje z owocami, w końcu zatopił wzrok w suficie, postął jeszcze chwilkę, machnął ręką i wyszedł.

2.

Równow w trzy minuty później Wiśniowiecki, odziany jak na wycieczkę górską, wymknął się na palcach z kuchni. Dotarł do podnóża schodów, tu włożył rękawiczki, padł na czworaki i poczołgał się wzwyż.

Schody były majestatyczne. Światło słoneczne wpadając na klatkę poprzez kolorowe szybki witraży barwiło ściany w fantasmagoryczne arabeski, wyczyszczona do połysku mosiężna balustrada zapraszała do wsparcia dłoni, dębowe deski pokryte bezbarwnym lakierem lśniły nieskalaną czystością. Po tych majestatycznych schodach sunął w górę Wiśniowiecki, dotarł ruchem węża na podest przed pierwszym piętrzem, wśliznął się jednym gibkim ruchem pod szeroką drewnianą ławę, ostrożnie wysunął zamaskowaną chustką twarz i dojrzał: towarzysz Janko stał przed drzwiami na baczność i pukał, a w przerwach nerwowo zacierał ręce. Po chwili drzwi się otworzyły i pojawiła się nieduża i bardzo okrągła staruszka. To była matka – matka towarzysza Janko! Nos i wargi wydatne, czoło wysokie, brwi bez barwy, kilka brodawek na twarzy, uszy zdobne małutkimi szafirami, srebrzyste okulary, ściągnięte w kok śnieżyste włosy stapiały się z blada karnacją twarzy, tworząc nieprzeparte wrażenie, że z czarnej, luźnej sukni wychyla się alabastrowa rzeźba. Wyglądałby zupełnie zaświatowo. Poglądziła półprzezroczystą dłonią po Jankowym policzku, drugą ujęła małutki krzyżyk srebrzący się w wycięciu sukni, podniosła go do ust, potem ręce jej opadły, jak gdyby bezradnie, i powiedziała:

– Jesteś oto znowu... Jeżeli musisz, to wejdź.

Zaledwie drzwi się zamknęły, Osip wychynął spod ławy i przystąpił do dalszego pięcia się, co stopień zamierał i przyłożywszy ucho do ściany nasłuchiwał. – A takie były z niego strach i determinacja, że pot kapiący z czoła utworzył na schodach kręty trop służbowego obowiązku. – Minął w pełnym rozplaszczeniu wiadome drzwi, minął półpiętro i zatrzymał się na poziomie strychu, tu zachowując absolutną ostrożność i wykazując wielką zawodową sprawność, odczepił od pasa zwój cieniutkiej linki z kotwicą, uchylił małutkie okienko i rzucił. Na zaczep udało mu się trafić dopiero za trzecim razem. Sprawdził, czy chwyt trzyma, splunął w dłoń i jednym pchnięciem wycisnął ciało na zewnątrz. Technika wahadła przedostał się na daszek, tam ukląkł i odpoczął, a potem ruchem świadczącym o wieloletnim doświadczeniu, narzucił na siebie płachtę maskowniczą i poczołgał się w kierunku przewodów wentylacyjnych.



Dotarłszy, przykucnął, poprawił kamuflaż, z kieszeni bluzy wyjął słuchawki lekarskie, rurka zakończona lejkiem była wręcz niesamowitej długości, lewym przedramieniem objął najbliższą rurę wentylacyjną i wprowadził przyrząd osłuchowy w głąb przewodu. – Nasłuchiwał i nasłuchiwał. – Pokręcił głową i zamyślił się. Po chwili poczołgał się dalej, obwąchując z wprawą wyloty rur. Wybrał wreszcie jedną, zapuścił ...i tym razem trafił! Wyjął notes, długopis i utrwalił się w bezruchu. – Po chwili oczy zaczęły mu wychodzić na wierzch.

Na dole działy się rzeczy tajemnicze i straszne.

W miarę słuchania Wiśniowiecki to bladł, to siniał, wreszcie osłupiał do tego stopnia, że służbowy kajecik wysunął mu się ze zeszytniałych palców i poleciał na podwórze.

Bez wątpienia starsza pani krzyczała!

Jej słowa płynęły trzaskającymi seriami, raz po raz powtarzały się określenia: „ręce zbrukane ludzką krzywdą”, „plugawienie ludzkich wartości”, „wybaw nas panie, z domu niewoli”. Były też określenia straszniejsze, ale tych Wiśniowiecki nawet nie śmiał rozumieć. Janko w odpowiedzi wspominał stale o „nieokiełznanej miłości do mas”, „gwieździe zarannej społecznej sprawiedliwości”, „nieustępliwie mielących młynach historii”, „jutrzence powszechnej szczęśliwości”, i „krzewieniu rewolucyjnego ducha postępu”. Niestety, głos towarzysza Janko brzmiał miękko, był jakby proszący, wszystko robiło wrażenie totalnie niepryncypialne...

Początkowo Wiśniowiecki sądził że to pułapka, że Janko gra na zwłokę, by potem tym skuteczniej zagonić przeciwnika do narożnika... Jednakże w końcu usłyszał coś tak okropnego, iż z miejsca zrobił się jak szturmówka na deszczu, duch z niego uszedł, a trzęsące się wargi wyszeptały:

– Mielście rację – to już koniec.

Wstał Wiśniowiecki, zrzucił z siebie maskowanie, spojrzał w niebo, ramiona w niemej prośbie uniósł w górę, a potem, nie kryjąc się już zupełnie, zaczął odwrót. Szedł z hałasem, koniec aparatu podsłuchowego włókł się za nim, skacząc schodził po schodach, wreszcie przystanął w sieni i zaczął bardzo głośno odgwisdywać hymn ojczyzny rewolucji światowej. Tkwił tak i świstał przez godzinę. Wreszcie drzwi na piętrze trzasnęły i potem było schodzenie po schodach, wielokrotnie przerywane ciszą.

Kiedy Janko stanął przed Wiśniowieckim, był pozornie jak zawsze, tylko oczy jakieś miał dziwnie rozwodnione. Powiedział bardzo cicho:

– A... to wy... - potem pociągnął palcem po ścianie, oglądnął palec i rzucił ostrzej: - Wszędzie kurz, Wiśniowiecki! Wy brudas! Nie dbacie o nic, o kamienicę też! – i znowu cichutko: - Wezwijcie samochód... Będzie jak zawsze...

– Czyli wy, towarzyszu Janko, zaczekacie na jeżdżenie u mnie? – grzecznie, ale jakby z góry, spytał Wiśniowiecki.

– Nie! Ja już sam jestem całkiem stojący na zewnątrz...

I wyszedł z kamienicy. Stanął obok bramy, wsparty plecami o mur.

Wiśniowiecki też powstał – tak z dwie minuty – w sieni, potem zatelefonował po samochód i zamknął drzwi wejściowe na zasuwę. Wszedł do sypialni i przystanął przed wielkim łóżkiem, nakrytym pierzyną i napuchanymi poduchami. Patrzył długo na oprawny w złote ramki dyplom, potem zdjął go ze ściany, usiadł i coś szeptał, wycierając brzegiem dłoni oczy. W końcu wyjął dyplom z ramek i podarł na drobniutkie kawałki. Usiadł w fotelu i długo myślał. Na koniec wstał, odsunął szafę od ściany i długo za nią grzebał. – Znalazł, starannie wytarł z kurzu. Ikona była nieduża i stara. Zawiesił ją nad łóżkiem, uśmiechnął się, pokiwał głową, zatarł ręce i przeszedł do kuchni. Usiadł za stołem, nalał do szklanki wódki, ukroił gruby na trzy palce plaster boczku, wypił, zakąsił, znowu się uśmiechnął, powtórzył nalewanie, wznosił bezgłośnie jakiś toast, wypił, czknął, powiedział wcale głośno „Idzie nowe”, założył na nos okulary, twarz mu się wypogodziła, włożył gdzie trzeba boczek, ze sterty bibuły wybrał kartkę i zaczął ją pilnie studiować.

3.

Po tow. Janko przyjechali dwaj – przystojni, zgrabni, wysocy, wiotcy, uszy niewielkie, nosy na swoim miejscu, włos blond, ubrani w komplety jeansowe i koszulki z napisem „I love you”, poza tym mokasyny, ciemne okulary – istni efebowie dojrzałego socjalizmu. Przywitali się bez salutowania, bez trzaskania obuwem, bez krztyny stupajkowatości, tylko chłodny ukłon oraz uścisk dłoni – w każdym calu tajni dżentelmeni. I tylko oczka mieli jakieś zupełnie galaretowate, a w nich wyraz napiętej jak cięciwa bezmyślności. – Przyjechali pozornie zupełnie normalnym samochodem, wyróżniającym się jedynie zwiększoną liczbą anten; przywitali się, milczeli i czekali.

Tow. Janko usiadł obok kierowcy i wywołał przez radio komendę wojewódzką; gdy po kilkunastu sekundach zgłosił się oficer dyżurny, Janko spytał go, co nowego, i – nie czekając na odpowiedź – kazał dać na linię dowódcę oddziału osłonowego w Pieskowej Skale. Tym razem trwało to dłużej: w słuchawce radiotelefonu odzywały się zbląkane głosy, ktoś wzywał piętnastkę, ktoś żądał wsparcia, ochrypli głos meldował, że na Rynku Głównym element wspiął się na rusztowanie i rozrzuca ulotki, będą potrzebni do akcji gimnastycy, wreszcie fonia się wyczyściła, zgłosiło się dowództwo w zamku w Pieskowej Skale, jakiś kapral przedstawił się i zapewnił, że nic zupełnie nie wie, w końcu odezwał się śpiewny baryton i zakomunikował melodyjnie, iż cała starszyzna – nasza i bratnich gości – bawi obecnie na podzamczu, obserwując rozpędzanie nielegalnego zgromadzenia.

Przez wzgląd na morale chajskich gości wieść zaniepokoiła nieco tow. Janko. Spytał o przyczynę społecznej niesubordynacji, a wtedy baryton wyśpiewał, że wichrzyciele rozpuścili wśród okolicznej ludności pogłoskę o przybyciu na zamek Trzech Królów z darami, zatem tłum zebrał, ale – dodał informator – sytuacja jest opanowywana, idzie ku lepszemu, nasi biją cudnie... Więc on zaraz spróbuje się połączyć się z miejscem akcji. W słuchawce zatrzeszczało, zagulgotało, kilkakrotnie miauknęło, potem do ucha tow. Janko dotarły odgłosy walki – krzyki, gwizdy, granie syren i miarowe tąpnięcia wyrzutników gazu łzawiącego. Schrypli głos zapytał:

– Hallo!.Hallo! Kto wy?

Janko przedstawił się i poprosił o połączenie z towarzyszem Czynnikiem.

– Zaraz podejdzie, dowodzi zastępczo akcją. – Po czym głos zaczął wołać: -  
Towarzyszu Czynniki! Pozwólcie! Pilna sprawa z Warszawy!

W tym momencie z placu boju dobiegło straszliwe wycie i nawet nad wyciem górujący ryk:

– Naprzód! Bij w nich!

Dopiero po dłuższej chwili odezwał się Czynniki:

– Warszawa?... Czy to towarzysz Pierwszy Sekretarz?

Janko rozpraszają nieco odgłosy bitewne, więc odpowiedział bardziej zawile niż zazwyczaj:

– To tu wy my ja!

– Poznaję!... Czołem, towarzyszu premierze! My w ogniu walki!... – zawołał Czynniki i zaczął się dzielić wrażeniami:

– Czekamy na armatkę wodną... Wtedy po nich! Mamy bandę w saku! Nie będą już podnosić ręki na Ludową!... Walka o postęp to piękna sprawa!...

*Qui pro guo* udało się wyjaśnić dopiero po chwili, tow. Czynniki był bowiem rozgrzany bojem, stale przerywał rozmowę i rzucał groźnie:

– Naprzód!... Oskrzydłać!... Na bagnety!... Na pały!

Zrozumiawszy, z kim mówi, ucieszył się niepomiernie:

– Ach! Kochany towarzysz Janko! Szkoda, że was tu nie ma. Są zmiany w planach, Fatalne przeoczenie MSZ-u! Ciemnoskórzy obchodzą dziś święto! Imieniny chajskiego przywódcy! Poprosili mnie, i to z dużym naciskiem, że chcą urządzić obchody z rodzimym ceremoniałem... Zgodziłem się, oczywista... Poczekajcie...

Słysząc było, jak Czynniki kaszle i wyciera nos, przeklinając gazowanie; połączenie było słabe, znowu pojawiły się błędzące głosy, z placu walki dochodziło triumfalne wycie – po dłuższej chwili Czynniki kontynuował:

– Więc to święto będzie na zamku. Dziś wieczorem! Słyszycie, towarzyszu? Wszystko już przygotowane. Światło, dźwięk i inne takie... A teraz sprawa do was! Wiem, u was jest

indywidualna impreza rocznicowa, ale tu też musicie udziałować. To jest ich święto państwowe! Żadnych zwolnień! Czyli przybywajcie! Pobędziecie trochę i popędzicie do Krakowa! Ja was bieżąco żegnam... przynieśli mi maskę! Wiatr się zmienił, a to gryzie paskudnie w oczy. No, my na was czekamy. Cześć, czołem! Do zobaczenia!

Janko odłożył słuchawkę i na dobre dwie minuty znieruchomiał z palcem wskazującym przytkniętym do czoła. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał dziwnie:

– Powiedźcie, towarzyszu kierowco, ile czasu będzie potrzebował pojazd samochodowy na przebycie z bezpieczną prędkością drogi z Krakowa do Pieskowej Skały?

Kierowca zaczął się zastanawiać; wtem tow. Janko dodał z nadspodziewaną kategorię:

- To nie ma ogromnego znaczenia, nie!... My się szalenie nie spieszymy, zatem uprzednio możemy pojeździć! Ja wam wskażę rękami drogę. Bar kawowy! Wy mnie tam zawieziecie! Ja najpierw wypiję kawę, a potem dopiero będą dalsze ciągi.

4.

Mimo wypicia 3 kaw, Janko aż do dalekich peryferii miasta drzemał. – Rozbudziła go groza bijąca zza okien samochodu.

Przepędzili już kawał drogi. W powietrzu zawisł zmierzch, światło dnia umierało nabierając sinawego poblasku, lasy gwałtownie niebieszczały, cienie przydrożnych drzew rosły w oczach, w zakamarkach krajobrazu sadowiły się już pierwsze enklawy mroku. Przeciskali się teraz przez wąską, ściśle otoczoną górami, dolinę rzeczną. Droga była wyboista, kluczyli, wzbijając fontanny błota, silnik buczał dojadliwie na wysokich obrotach, okolica straszyla bezludnością, pustką patrzyło z ogrodów i pól, rozproszone domki czaiły się przycupnięte w coraz większych od siebie odstępach. – Ciemność szła zewsząd...

Rozbudzony niejasnym lękiem tow. Janko spojrzął przez okno samochodu w górę i dreszcz przeleciał mu przez krzyże, a zupełna czczość naszła na głowę. Bo też góry dookolne najwyraźniej napierały!

Były to góry dziwne, chorobliwie skarłałe, patologicznie zacieśnione, o głowach rozdętych, brzuchach kudłatych i kidających się, góry zawisłe jak konie w skoku, dołem toporne, u szczytów rozwichrzone, w nadciągającym mroku rozmazane i niedookreślone.

Te góry czyhały!

Namolnie zastępowały drogę na zakrętach i po łotrowsku pobłyskiwały z zanadrsa sztyletami skał. Och! To były góry paskudne i niebezpieczne – złośliwa karykatura gór! Przecież ich ściany, zamiast dostojnie spływać, koziołkowały wariacko w rozpadliny zerw, przecież ich łysawe wierzchołki nie uwypuklały się sensownie, lecz kwitły błazeńskimi pałkami skalnych narostów, ze zgliwiałych zboczy wyszczerzały się tu i tam wapienne twarze z ogarkami ogromnych świec na głowach, nawet wąwozy, nawet doliny nie były prostolinijne i otwarte, lecz zaciskały się jak pośladki, zapadały w głąb jak złośliwe starcze usta. – *O! to są góry zupełnie do dupy!* – przesunęło się przez świadomość tow. Janko.

Kiedy mrok postąpił o piędź i kierowca zapalił światła, rzeczywistość za oknami samochodu zrobiła się jeszcze bardziej upiorna – istne siedlisko zbrodniczego czajenia się.

Na środek sceny wyszły teraz wierzby – długie szeregi bezrękich kalek, kadłuby z czerepami pokrytymi rzadką szczecina witek, nieskończone ordynki trucheł poranionych i bezwstydnie się rozkraczających, wszystko to wywalało z poprutych brzuchów zgniliznę próchna, wygrażało gruzłastymi kikutami, włąziło na szosę z okrutną bezceremonialnością upiorów. – Za ich plecami żółte strugi reflektorów wyciągały z niebytu jakieś przerażające detale bez dalszego ciągu: kawałki płotów, przykucnięte sterty pustaków, wzywające ratunku strachy na wróble, budy czołgające się we mgle, beznadziejnie wplątane w siebie drzewa, węzowiska drutów, ślepe stodoły, pełgające oczy kapliczek, bezsensowne mostki donikąd, labirynty uli... I cała ta rupieciarnia, popychana jakby przez góry, sunęła do światła, zajmowała pozycje bliżej i bliżej, brakowało tylko sygnału, hasła, wycia wilka czy chocholego grania, by odarta z przyzwoitości zgroza wyuzdała się do cna i spadła na samochód, jak spada żyłotka na napiętą skórę nadgarstka.

Wtedy stało się – coś błysło i rozbłysło!

Janko skulił się, oczekując zaświatowego ciosu, ale – ...nic nie spadło ...nic nie wypełzło ...nic nie chwyciło zimną ręką za krtani.

Za to górę leciało – światło! – po chwili drugie, trzecie, czwarte, kolejne...

Kazał stawać i wpółwychylił się przez półotwarte drzwi – a tam, zza góry, zza lasu leciały w popstrzoną gwiazdami studnię niebieskiego mroku drobne perełki kolorowego blasku.

– Fajerwerki! – powiedział szeptem i westchnął z ulgą. – Nasi się bawią. A do kierowcy:  
– Pospieszajcie, towarzyszu prowadzący, bo jestem spragniony mieć wgląd w ognie sztuczne z bliskości.

Popędzili!

W blasku rac mary czmychały, materializm triumfował, wpadli między zabudowania, jezdnię obrzeżyły latarnie, znowu pustać, ale ujarzmiona lampami, za nią zakręt, i jeszcze trzeci, i jeszcze, kawałek wąskiej drogi w prawo, ostro, ostro w górę, teraz las, potem park, drzewa uciekały na boki, na koniec żywoplot, placyk, fragment murów – i nareszcie są.

5.

Przed bramą zamkową stało trzech – w hełmach, z pałkami, z bronią maszynową przy piersi, a ochronna barwa mundurów tak idealnie zlewała się z mrokiem, że między twarzami a ziemią ziała pozorna pustka.

Janko, wysiadłszy z samochodu, poczuł w ciele nadzwyczajną jasność. Przeciągnął się, przyglądził włosy i spytał o dowódcę. W tym momencie brama się uchyliła, błysnęła smuga światła, ktoś szedł rytmicznie tupiąc i głośno pogwizdując.

Był to zapoznany wcześniej drogowy major, wyprężył się jak struna – ale struna nieco drżała – świsnął, oddał honory, spytał o hasło, potem wypuścił gwizdek z ust i znieacka, półgębkiem, ale bardzo głośno, zawołał:

– Baaaczność!

Żwir się posypał z murów. Janko postąpił o krok, dalej nie mógł, bo odepchnął go obłok spirytusowy tak gęsty, że aż sprężysty.

Drogowy major równie niespodziewanie zakomenderował:

– Spooocznij! – i znikł w ciemnościach.

Janko machnął z rezygnacją ręką, minął tabliczkę *Obiekt zabytkowy – wstęp wzbroniony* z karteczką doklejoną u dołu: *Nieczynne aż do odwołania* i – niezapowiedziany – wkroczył w podwoje zamku.

Wewnętrzny podworec oświetlały umieszczone na wojskowym samochodzie reflektory. Na drugiej ciężarówce piętrzył się stos aparatury nagłaśniającej i gruby mężczyzna w stalowobłękitnym frenczu sprawdzał mikrofon, wciąż dochodząc jedynie do piątki. W centrum dziedzińca widać było dwuszereg zomowców. Ich dowódca, wysoki chorąży o sylwetce koguta, przemawiał, akcentując punkty węzłowe zagadnienia machnięciami pałki. Janko, przecinając podworec, znalazł się na tyłach dwuszeregu i przystanął.

Chłopcy nie prezentowali się już tak ślicznie, jak w latach siedemdziesiątych. – Wielu miało wzrost dość niski, kilku było nawet zupełnie małych, dwu ewidentnie garbatych, wszyscy uszy posiadali kalafiorowate, nosy bez charakteru, jeden – najmniejszy – najwyraźniej się ślinił. Rzucił im towarzysz Janko niezbyt głośno w plecy „cześć pracy!”, wtedy dwuszereg się skłębził, zbił w bezkształtną kupę, ktoś piszczał, przewracali się, deptali po sobie, wreszcie wykonali



zwrot, wtedy dowódca, tłukąc gdzie popadnie pałką, przedarł się na nowy front, i już... już... ostrym słowem chciał sprowadzić intruza do parteru, ale spostrzegłszy, kto zacz, zmiękł, spuścił z tonu, przyjął postawę zasadniczą i służbiście zameldował pluton bojowy w czasie zajęć ogniowych w terenie. – Wtem wewnętrzna brama otwarła się z hukiem i chorąży wrzasnął opętańczo:

– Gotuj się, gotuj!

Pluton uniósł prawe dłonie do góry.

– Teraz, teraz! – zawołano gdzieś od zamku. Dowódca machnął pałką i zakomenderował:

– Ognia!

Wtedy ze wzniesionych rąk trysnęły w ciemność różnobarwne błyskawice, aby rozczapierzyć się na nieboskłonie w wielopalczaste komety. Gdy na patrzących spadał z nieba olśniewający czar fajerwerkowego bogactwa, dowódca zakomenderował głosem piorunowym:

– Spocznij. Ładuj broń

– Spocznij... dobra robota... – uzupełnił Janko. Po chwili zaś dodał:

– Wy pozwólcie ze mną, towarzyszu dowodzący. Poprowadzicie mnie dalej.

Samodwaj przemierzali do reszty dziedziniec i przystanęli przed wewnętrzną bramą. Zomowiec zastukał szyfrem, w dużej bramie uchyliły się drzwiczki, przez szczelinę buchnął łoskot i wionął schrypły szept:

– Wy kto? Podać hasło!

– Dwudziesty drugi lipca – tchnął twardym głosem w szparę czołujący zomowiec.

Otwór wejściowy poszerzył się, błysło światło latarki i ten sam głos powiedział:

– Wchodźcie, wchodźcie... Czy to towarzysz Janko? Tam już na was czekają!

Janko odprawił przewodnika i schyliwszy głowę, wsunął się do ciemnego wnętrza. Furta zapadła z trzaskiem. Stał teraz na progu wysoko sklepionej sieni, a w oddali migotała krwisto łuna pożaru. Spytał:

– Co się pali? Zamek?

Schrypiły głos odpowiedział z ciemności:

– Jeszcze nie. Czarni się bawią!

Spróbował dojrzeć twarz rozmówcy, ale w mroku majaczył tylko zarys hełmu i jarzące się pod nim wilcze oczy. Rozkazał bezkompromisowo:

– Zapalcie latarkę! Kto na warcie? Znam was?

Światło latarki oświetliło tylko podłogę, a głos odpowiedział:

– Sierżant Zsypny, z oddziałów specjalnych. Stróżujemy...

– A co to za okropny hałas?!

– Murzyństwo się rozochociło. Wałą w studnię!

Tow. Janko aż się zachnął z niepokoju:

– W studni nie ma wody?!

W głosie sierżanta pojawiło się jakby rozbawienie, długo pokasływał, nim odpowiedział:

– Wody nie brakuje... Oni tak tłuką do tańca! Biją w studnię, bo dźwięk ładnie niesie.

– Wszyscy?

– Skądże!... Bębnią wolni, znaczy, bez pary. Reszta tańczy... Nasi, ma się wiedzieć – nie!

- A kto podpalił zamek? – tow. Janko wyraźnie nie pojmował sytuacji. – Z tego będą kłopoty!

Sierżant Zsypny nie krył już rozbawienia:

– Ho, ho, ho... Jeszcze jakie kłopoty! Taka impreza musi się skończyć totalnym zaproszeniem ognia, ja się znam na przeciwpożarnictwie! Wszystko się sfajczy, jak dwa dodać dwa! – Powiedziawszy, zaczął się rubasznie śmiać.

Tow. Janko był najwyraźniej przerażony wizją całopalenia delegacji; zawołał:

– Czy jesteście pewni, sierżancie, że całokształt zgorzeje?!... Więc róbcie coś! Trąbcie na alarm! Krzyczcie!

Ale zdania wykrzyknikowe wywarły na sierżancie wrażenie raczej nieduże; śmiał się, a w przerwach wydusił:

– Dużo się nie spali... Strażacy są już w parku... Czekają...

Tow. Janko był naprawdę oburzony:

– Wy cieszycie się z pożaru?!

Wtedy w ułamku sekundy oczy pod hełmem spurpurowiały i wraz z głosem sierżanta buchnęło na Janko coś tak zimnego i groźnego, że cofnął się o krok. Zsypany wycedził pomału:

– Ja tam swoje zadania znam, nieuprzejmy towarzyszu... Nikt, nawet na waszym szczelbu, nie będzie mnie tu przyuczał. Chyba wiecie, że ja poświęcam się innej problematyce?

Zawisło milczenie. Po chwili oczy pod hełmem powróciły do żółtozielonej normy i schrypiły głos spytał:

– Czy zaprowadzić towarzysza do ogniska? Tam baranki pieką!

Na podwórku szalały: purpura, łomot i jakaś nieprawdopodobna atmosfera wyuzdanego nieoczekiwanego.

Podcienie go kryło. Stanął i spojrzał, jak zawsze, badawczo. Zabawa szczytowała!

Oni tańczyli...

Nie! – Nie!!!

Tańczył właściwie tylko jeden człowiek!

Tańczył w dwójnasób! w trójnasób!

Oczywiście Kaliban O. Bumba.

Zrzucił z siebie bardzo wiele – prawie wszystko!

Płasał oraz:

Lśnił jak świeżo nasmarowana lokomotywa...

... oczy błdziły mu jak semafore – a...

... dech miał też coś z kolejnictwa!

Wypukły brzuch falował jak stado węży...

... kręgosłup wił się i giął krańcowo gibko...

... obfite piersi kołowały jak macki.

A stopy...?

Ach! te bosc boskie stopy!

Rozstawiły się zupełnie lateralnie i stepowały werblem oszalałym: tlaputlap, tlaputlap, tlaputlap...

W dłoniach towarzysz Bumba trzymał kij.

Najzupełniej zwyczajny kij.

Kij jakich wiele...

I on przez ten kij...

Przez najzwyczajniejszy w świecie kij...

...Skakał!!!

Grono spoczywało na krzesłach wokół ognia – jaśni i ciemni naprzemiennie.

Janko podszedł i skłoniwszy się, chciał siadać, ale nagle strumień serdeczności wystąpił z brzegów – wszyscy podnoszą głos i ciało, wszyscy, a w powietrzu aż gęsto się robi od powitań, Murzyni powiewają czym się da, Pigmej znad studni śle ukłony – pełne braterstwo!

Wtem tow. Czynn timerkę do góry uniósł i woła:

– Cisza, cisza!

A potem:

– Na wiwat. Nuże! – i rękę ostro spuszcza.

Głos w sieni powtarza „Nuże”, chwila ciszy – i...

Już!

Na dziedzińcu robi się bajecznie barwnie – lecą!: perełki blasku, gwiazdeczki śmigłe, komety kolorystycznie rozpasane, wibrujące iskierki cudu, tryskają w czarne niebo baśniowe krynice fajerwerków.

Wszystkich rytm taneczny teraz porywa, wartki i rwący, nawet towarzysz Czynniki lekko klaszcze. – Czarownie się robi!

A wtedy, nagle, bez żadnych wstępnych formalności – Janko też zaczyna tańczyć!

A raczej oni tańczą.

Janko jest ujęty w tali, Janko trzyma dłoń w czarnej dłoni, Janka prowadzą: raz, dwa, raz, dwa, trzy, cztery...

Mambo? Boogie-woogie? Dżajw? Z kim...?

Murzyn ciśnie, Murzyn rytm przyśpiesza, Murzyn w galopadę...

... Janko traci dech ...pot mu zalewa oczy ...serce pcha się do gardła.

Oj! Tańczą!

Dancer trzyma, na włos nie popuszcza!

Tow. Janko gubi się w promenadzie: sójka w bok – Jankowi zostaje z tyłu noga: sójka w bok – tow. Janko się wrywa: sójka w bok – tow. Janko zwisa...

*Umrzecie, towarzyszu, w tańcu!* – Taki napis przesuwają się przed Jankowymi oczyma i proroctwo z miejsca zaczyna się spełniać.

Wtedy czarnoskóry puścił

Tow. Janko pada, do zmysłów dochodzi, patrzy: - z kim? miał? przyjemność!? Czy z towarzyszem Bumbą?

Oh, nie! – To senioralny Mumu Omajamu! – Jest ciągle i nadal niezmordowany! Płasa i woła:

– Ci wszyscy z wszystkich krajów – łączcie się!

Już wyciąga Kulturę i Sztukę, profesor trzyma się krzesła, trochę krzyczy, ale Murzyn nie popuszcza, ciągnie, oderwał, bierze, przyciska...

A rytm się zagęszcza, komplikuje...

Czy to passo dobre? może samba? rumba?

Czacza!!! – bo Murzyni skandują po polsku – bra-ter-stwo, bra-ter-stwo...

Biorą się teraz grupowo za naszych, ten za tego, tamten za owego, biorą się i biorą, aż gęsto się robi na brukowanym parkiecie.

Dwaj tylko ostali się przy ognisku: Janko jeszcze dyszy, zaś towarzysza Czynnika nikt nie ważył się porwać w dancingowy krąg. Czownik pogląda na zabawę, niby uśmiechnięty, niby poklaskuje, ale znać – ma dość! – i gani w duchu murzyńskie rozdokazywanie. Wreszcie nie wytrzymał, podnosi się z rzeźbionego karła, kogoś z bramy przyzywa...

Zgłosił się sierżant Zsypany. Poszeptali, pogadali, na koniec „...niniejszym starczy!” słyhać, wtedy sierżant odpiął kaburę, wyjął i bez ceregielanctwa – łup! – z krótkiej osobistej.

– No, towarzysze, tańca dość na dziś! – głos Czynnika zabrzmiał zarazem kategorycznie i serdecznie. – Może pośpiewamy? U nas, widzicie, w Polsce jest tradycja, że gdy obywatele gromadzą się przy ogniskach, to nucą tzw. kupały. I my też zanucimy.

– Międzynarodówkę? – wyrwał się znienacka tow. Szaleniec. – Wszyscy znają!

Grymas niezadowolenia przemknął przez Czynnikową twarz:

– Wy taktu! Wy taktu, towarzyszu Szaleniec, nie posiadacie – nawet za paznokciami! To jest półoficjalna uroczystość. Ja proponuję!: słyzałem kiedyś taką piękną i melodyjną piosenkę o jarzębinie czerwonej. Znać? Nie?! Nie szkodzi! My sobie ją zaśpiewajmy murmurando.

Gdy gremium się rozśpiewało, Janko skłonił się zamasyście dookoła, podszedł do studni, uściśnął dłonie muzyków, rzucił w powietrze „Miłej zabawy!” i znikł z dziedzińca jak najprawdziwszy Anglik.

W sieni warta rozpałała ognisko i było tam też wesoło. Do ochroniarzy dołączył drogowy major z gwizdkiem. Kucali wokół ognia i piekli kielbasę na patykach. Gdy Janko przechodził, podszedł do niego sierżant Zsypany. Sylwetka wojaka była jeszcze bardziej zamazana, oczy świeciły karmazynowo, trzasnął obcasami i zapytał chrapliwie:

– Wy jedziecie? Nie będziecie, z tymi tam ...zaproszać?

Ognisko pobudzone kapiącym tłuszczem skoczyło w górę i Janko dojrzał nareszcie twarz sierżanta – była męska, bokserska i robiła wrażenie przepuszczonej przez wyżymaczkę. Odpowiedział grzecznie:

– Udamę się do pełnienia obowiązków służbowo-towarzyskich.

Zsypany poklepał go po ramieniu i z dzikim błyskiem błyskiem w oczach zaproponował:

– To może strzemiennego? Prawdziwa łącka śliwowica! Wiecie, nam, starym działaczom, alkohol pomaga w pracy – i pchnął butelkę tuż przed oczy tow. Janko.

Janko nie śmiał się wykręcać, zresztą, po tańcu czuł osłabienie, więc wyrzucił z siebie głosem, który miał brzmieć bardzo męsko:

– Takim, jak wy, nigdy nie odmawiam! Długo jesteście w służbie czynnej, Zsypany?

Sierżant roześmiał się rubaszenie. – Prawie trzydzieści lat! Przeszło się cały szlak bojowy, na Poznań byłem jeszcze za młody, ale potem już wszystko – Warszawa, Wybrzeże, Ursus, Jastrzębie... Nieźle się powojowało, nie to, co te gołowasy. – Wskazał głową w stronę zewnętrznego podworca – Ci nawet pałki porządnie w ręce trzymać nie umieją!

- A ranni już byliście? – spytał tow. Janko i z mimowolnym szacunkiem spojrzał na rozpląszczony nos sierżanta.

- Dwa razy! – Zsypany uśmiechnął się z dumą. – Pokazać wam blizny?

- Nie trzeba, nie trzeba!... Lepiej mi opowiedzcie! Czy to były ciężkie obrażenia?

Sierżant Zsypany pokiwał głową i spojrzał na rozmówcę z pobłażliwym rozbawieniem:

– Wojna to nie przelewki, towarzyszu, wióry muszą lecieć! Pierwszy raz byłem ciężko kontuzjowany cegłą na Wybrzeżu, potem, w 85-tym, pogryziony w Warszawie przez studentki!

Towarzysza. Janko ten drugi typ wypadkowości szczególnie przeraził. Spytał z troską w głosie:

– Ale wyzdrowieliście?

– Ma się wiedzieć, wedle rozkazu!.No, to co? Polać?

Tow. Janko wypił, śliwowica przepaliła mu gardło i zawirowała w oczach, nie lubił wódki, ale dziś chciał być silny... Odchrząknął, z trudem przełknął ślinę, poklepał sierżanta po ramieniu i znacząco wystawiwszy palec powiedział:

– Wy musicie być dziś czujni na wszystko jak Kościuszko pod Racławicami. Całokształt niesie problematykę międzynarodową. Niech strażacy nie zasypują gruszek w popiele!

Sierżant uśmiechnął się bardzo szeroko i głośno:

– Nie lękajcie się, towarzyszu, będę miał oko na zgromadzenie. Ja czarnym nie ufam!

– A wiecie co...- Janko zniecka się uśmiechnął. – ...wy możecie nie mieć racji! Bo czarne nie musi być czarne... – dodał tajemniczo. – I poszedł.

Na zewnętrznym dziedzińcu też doszło do rozluźnienia obyczajów. Paliły się tu liczne ogniska, ktoś kogoś w krzakach kotłował, dźwiękowcy nawiązywali kontakty intymne z kelnerkami i tylko pluton ogniowy tkwił osamotniony w gotowości do akcji.

Janko podszedł do samochodu, jak spod ziemi wykwitli jego piękni woźnice, towarzysz wsiadł gdzie trzeba, drzwi samochodu i fabuły trzasnęły i wystartowali.

Reflektory wdzierały się w noc, opony bzycały, napięcie mijało, alkohol szumiał w komórkach – było mu błogo, spojrzął przez tylną szybę – zamek rysował się, stał na wysokości otoczony reflektorową koroną. I nagle – jak z wulkanu – spomiędzy murów – bluznęło! prysnęło! chlusnęło! waliło – leciało w kosmos fajerwerkowe szampaństwo.

Tow. Janko najpierw długo kiwał głową na wszystkie możliwe strony, a potem zakomunikował kierowcy:



– Popędzajcie wy, towarzyszu kierowco, bo w Krakowie wyczekuje na mnie moc niewątpliwie pięknych zaszłości.



